

Jacek Friedrich: Zrealizowana utopia nowoczesnej polskości

W Dwudziestoleciu międzywojennym rozumiano, że trzeba odwrócić bieg historii, który w minionych stuleciach okazał się dla Polski zgubny. Uznano, że historycznym błędem było zaniechanie budowy potęgi morskiej, a oddanie przez dawną Polskę spraw morskich w monopol Gdańskowi (który nie był specjalnie zainteresowany umacnianiem Polski), przyczyniło się do upadku Rzeczypospolitej. Dlatego tak pilnie starano się stworzyć nowy model nowoczesnej, morskiej Polski – mówi prof. Jacek Friedrich w wywiadzie dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Bałtyk. Mare nostrum?”.

Krzysztof Wojciechowski (Teologia Polityczna): Gdy szuka się rdzenia polskości, automatycznie na myśl przychodzą skojarzenia z Krakowem, Warszawą, Wilnem, Lwowem, czy szerzej Kresami Rzeczypospolitej. Pomorza wśród tych skojarzeń z polskością jednak nie ma. Czy słusznie?

Jacek Friedrich (historyk sztuki, dyrektor Muzeum Narodowego w Gdańsku): Bardzo charakterystyczne jest to, że w tym zestawieniu brak nie tylko Pomorza, ale często nawet Gniezna, Poznania czy Inowrocławia; czyli Wielkopolski i Kujaw – kolebki polskości. To jest moim zdaniem bardzo ciekawe zjawisko, bo pokazuje jak my trochę – zaryzykuję takie stwierdzenie – przejęliśmy *à rebours* niemiecką narrację *drang nach Osten*, sami mentalnie wyparliśmy się kresów

zachodnich i przyjęliśmy kierunek wschodni. Oczywiście Pomorze jest nawet w trudniejszej sytuacji od Wielkopolski, bo chyba w jeszcze mniejszym stopniu kojarzone jest z tym intuicyjnie odczytywanym rdzeniem polskości.

W średniowieczu Pomorze było rządzone przez książąt pomorskich. Przełomem jest wojna trzynastoletnia, zakończona podpisaniem pokoju toruńskiego i okazanym przez Królestwo Polskie poparciem dla Związku Pruskiego, który niwelował wpływy Zakonu Krzyżackiego na tych ziemiach.

Od wojny trzynastoletniej w XV wieku do rozbiorów Pomorze jest częścią Polski, jednak nie zapominajmy, że wielkie miasta jak Gdańsk, Elbląg, Toruń, pozostawały de facto miastami niemieckimi. Zarówno w sensie kulturowym, językowym jak i sieci powiązań gospodarczych. Dla tamtejszego mieszczaństwa dużo ważniejszymi punktami odniesienia były: Królewiec, Hamburg, Lubeka niż Kraków, Lwów, czy Lublin. To widać nawet podczas zaborów w XIX wieku, gdzie ta pamięć o polskim Gdańsku owszem gdzieś się tli, ale jest szczątkowa. Znamienne, że w malarstwie Matejki, który podejmował tak różnorodne tematy, właściwie nie ma Pomorza. Są jedynie Krzyżacy kojarzący się negatywnie, wręcz perwersyjnie, z tym regionem. Dlatego w ogólnopolskiej kulturze XIX wieku takich pozytywnych przykładów polskości na Pomorzu właściwie zbyt dużo nie znajdziemy. Istnieje co najwyżej ogólny sentyment, że kiedyś Gdańsk był portem dawnej Rzeczypospolitej. Ale jego obecność, podobnie jak Pomorza i Bałtyku, w polskiej kulturze dziewiętnastowiecznej jest znikoma. Dla mnie to niezwykle ciekawy fenomen, że my sami właściwie zaakceptowaliśmy to wymazanie Pomorza i Bałtyku z naszej mentalnej mapy Polski. Polska przez wieki właściwie odwracała się od morza. Dlatego, jest

jakimś cudem to, że kwestie morskie zostały bardzo mocno postawione przez Polaków w czasie konferencji wersalskiej. Uzyskanie dostępu do Bałtyku po I wojnie światowej oraz związane z tym dążenie do przekształcenia Polaków w naród morski, w istocie stanowią jakieś całkowite odwrócenie fatalizmu historycznego.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Rzeczywiście, po odzyskaniu niepodległości, w dwudziestoleciu międzywojennym, ówcześni decydenci bardzo silny nacisk postawili na związek Polski z morzem. Przykład Ligi Morskiej i Kolonialnej pokazuje, że budowano na nim wręcz pewne skojarzenia mocarstwowe.

Jak mówimy o Lidze Morskiej i Kolonialnej, to z dzisiejszej perspektywy trudno, oczywiście, ten pomysł traktować serio. Jest on raczej przedmiotem kpin i krytyki. Natomiast w moim przekonaniu, gdy spojrzeć na to historycznie, to kwestia jest o wiele bardziej złożona. Po pierwsze, mamy do czynienia z pewną próbą odwojowania historii, nadgonienia straconego dla Polski XIX stulecia. Choć próba ta z góry wydawała się skazana na porażkę, ale przynajmniej psychologicznie wydawała się możliwa. Po drugie, o czym często zapominamy śmiejąc się z Ligi Morskiej i Kolonialnej, świat w międzywojniu jest wciąż światem, w którym potęgami są imperia kolonialne – Francja, Anglia, nawet Belgia czy Holandia, także Niemcy (choć osłabione po pierwszej wojnie światowej). Myślenie, że Polska ma być wielkim

narodem, determinowało poniekąd chęć dołączenia do tej elity. Nikt wówczas nie przypuszczał, że za dwadzieścia, trzydzieści lat cały ten kolonialny porządek legnie w gruzach.

I trzecia, ostatnia rzecz – w tych polskich kolonialnych wyobrażeniach próbowano urzeczywistnić dość specyficzny model, może nieco mniej odpychający. Był on bowiem skoncentrowany na próbach osadzania polskich kolonistów w Liberii, a więc w tym wyjątkowym kraju afrykańskim, który był właśnie wolny, nieskolonizowany. I to, jak Polacy próbowali wówczas działać przypominało bardziej to, co dzisiaj w Afryce robią Chińczycy. Nie wchodzi z wojskiem i nie zajmują jakiegoś terytorium, tylko wprowadzają biznes, jakiś *know-how*, jakieś powiązania różnego rodzaju. Właśnie taki był pomysł na ten polski kolonializm. Myślę, że warto o tym pamiętać – to jest bardziej złożone niż w takim prostym, czarno-białym wizerunku, w którym Liga Morska i Kolonialna jest jakimś całkiem absurdalnym, groteskowym tworem.

Wróćmy do Polski. W oparciu o posiadanie dostępu do morza starano się w dwudziestoleciu międzywojennym wykreować też nowy model nowoczesności, odmienny od tradycyjnie osiadłego stylu życia Polaków. Czy to się udało?

To sprzężenie z myślą modernizacyjną jest, moim zdaniem, pierwszoplanowym problemem. Jak się spojrzy na publikacje czy filmy międzywojenne, plakaty reklamujące wypoczynek nad morzem, rejsy transatlantykami, sporty wodne, jest to zupełnie ewidentne. Służy temu nawet propagowanie diety rybnej. Zamysłem jest pokazanie nowego, wysportowanego modelu nowoczesnego Polaka i Polki. W oczu rzucają się obecne w tej propagandzie wątki kobiece – na plażach

pojawiają się wysportowane dziewczęta, są obecne obok chłopaków na żaglówkach. Mamy takie kapitalne zdjęcie w zbiorach Muzeum Miasta Gdyni, które zresztą anonsuje naszą wystawę stałą „Gdynia – dzieło otwarte”. Fotografia pokazuje grupę młodych mężczyzn i kobiet spędzających wspólnie czas na jakimś moło. Robią to z wielkim zapałem, są ubrani nowocześnie – sportowe bluzy, białe, żeglarskie spodnie – i pochylają się nad jakimś rozłożonym planem, mapą. To pozowane zdjęcie, bardzo świadomie wykreowane jako obraz młodych, zdrowych, nowoczesnych, wysportowanych Polaków, którzy patrzą na ten plan i projektują przyszłość, może jakieś rejsy zamorskie. Oczywiście trudno powiedzieć co, ale ogólnie ten duch spojrzenia w przyszłość, bez lęku, jest bardzo, bardzo czytelny. To jakby *pars pro toto* całej ówczesnej propagandy, która podnosiła właśnie te aspekty – nowoczesności, modernizacji, skoku cywilizacyjnego.

Dlaczego taką wagę do tego przywiązywano?

Chyba zrozumiano, że trzeba odwrócić bieg historii, który w minionych stuleciach okazał się zgubny. Uznano, że historycznym błędem było zaniechanie budowy potęgi morskiej, a oddanie przez dawną Polskę spraw morskich właściwie w monopol Gdańskowi (który nie był specjalnie zainteresowany umacnianiem Polski), przyczyniło się do upadku Rzeczypospolitej. Dlatego tak pilnie starano się stworzyć ten nowy model nowoczesnej, morskiej Polski.

Ale ten proces wiązania Polski z morzem miał chyba też inny kierunek. Obrazować go mogą np. wille w stylu dworkowym gdyńskiego osiedla Kamienna Góra. Czy udało się to

przeszczepianie na Pomorze tradycyjnych polskich wzorów, polskiego sposobu bycia?

Ten styl dworski to w ogóle ciekawe zjawisko. On wynika z tego, że Kamienna Góra była stosunkowo wcześniej zabudowana – zanim powstały modernistyczne kamienice śródmieścia w latach 30. Tymczasem już na początku i w połowie lat 20., dość powszechny był – jak go nazywano – styl narodowy. To on zdominował zabudowę Orłowa i Kamiennej Góry, które były miejscami, gdzie inwestowano w zabudowę indywidualną, willową, a nie jakieś większe zespoły. Ale to nie jest fenomen wyłącznie gdyński. Te klasycyzujące, historyzujące elementy odnajdujemy w architekturze, która powstaje wtedy także w innych miastach Polski. Ma pan jednak rację, ponieważ widać w Gdyni próbę zaszczepienia polskości w przestrzeni miejskiej. Bo nie tylko wille na Kamiennej Górze, są takie dworskie, z kolumnowymi gankami, czyli wprost odwołujące się do wzorca polskiego. W stylu narodowym zbudowany został w latach 20. również gdyński dworzec kolejowy. Znamy go już tylko z fotografii, ale widać w nim odwołania do architektury kojarzącej się z południem Polski.

To były świadome zabiegi polonizacyjne – niezależnie czy mówimy o stylistyce historyzującej, czy o późniejszej już stylistyce modernistycznej, gdzie z kolei jasne tynkowane elewacje stanowiły przeciwieństwo ceglanego, „pruskiego” Gdańsk, gdzie nawet budynki modernistyczne murowano z czerwonej cegły. Dlatego, jeżeli Pan pyta o to, czy ta architektura przyczyniła się do tworzenia polskości na Pomorzu, to odpowiem, że w jakimś sensie tak. Zwłaszcza na początku. Dawała Polakom, którzy się osiedlali w Gdyni poczucie, że są u siebie. Jeżeli jeszcze dodamy do tego całą tę propagandę wizualną, teksty literackie i prasowe, które wówczas powstawały, filmowe wizje

Wybrzeża, dzielnych marynarzy, lotników na hydroplanach, to można powiedzieć, że mamy do czynienia z eksperymentem budowy nowoczesnej polskości, który się nadspodziewanie powiódł.

Mit, który udało się zrealizować?

Tak, bo Gdynię można by nazwać zrealizowaną utopią, zaplanowanym mitem. Takich paradoksalnych określeń można byłoby użyć w odniesieniu do tego miasta. Do dzisiaj w mieszkańcach Gdyni widać silne poczucie, taki odruch patriotyczny, że to my jesteśmy kwintesencją tej nowej, radosnej Polski, takiej wychylonej do przodu.

Jednak nad tym radosnym wyobrażeniem nowoczesnej polskości kładzie się cieniem dramat wojny i traumatyczne losy mieszkańców tych terenów, prawda?

Dramat Pomorza w trakcie II wojny światowej wciąż pozostaje poza świadomością wielu Polaków, trochę jak w przypadku pierwszych skojarzeń z polskością, od których zaczęliśmy naszą rozmowę. Myśląc o polskiej martyrologii w czasie okupacji niemieckiej, kojarzymy od razu – i słusznie – Auschwitz, albo inne zbrodnie z wielu miejsc centralnej Polski czy Kresów. Mało kto spoza Pomorza wie jednak o Piaśnicy, którą można nazwać pomorskimi Palmirami, gdzie miał miejsce pierwszy akt ludobójstwa w czasie II wojny światowej. Już jesienią 1939 roku zaczęto rozstrzeliwać całą elitę pomorską – księży, urzędników, nauczycieli, wszystkich tych, którzy w jakikolwiek sposób w międzywojniu kojarzeni byli z polskością na Pomorzu.

Skąd ta zawziętość okupanta?

Mówiliśmy już o tym, że Gdynia była emblematem Polski, nowoczesnej Polski. Gdy powstawała, początkowo Niemcy sobie z tego drwili – ot, jakieś polskie rojenia o potęgę. Im bardziej sukces Gdyni stawał się jednak realny, tym większa narastała niechęć ze strony niemieckiej – widać to doskonale w prasie niemieckiej z tamtego okresu. Po tym, jak Gdynia zaczęła być ogromnym, niespodziewanym – dla obu stron, a już na pewno dla Niemców – sukcesem, to staje się znienawidzonym sąsiadem, który zagraża dotychczasowej pozycji Gdańska. Gdańska, dodajmy, który wówczas był zdominowany przez żywioł niemiecki. Po wrześniu 1939 roku, niestety obraca się to ze straszliwą siłą przeciwko Gdynianom. Miasto dotknął los, który spotkał wszystkie tereny wcielane bezpośrednio do Rzeszy, gdzie okupacja była o wiele bardziej bezwzględna niż w Generalnym Gubernatorstwie. Ale Gdynia stała się też ofiarą swojego przedwojennego sukcesu propagandowego. Niemcy jakby przyjęli ten nasz punkt widzenia i narrację o tym, że Gdynia jest wspaniałym sukcesem Polski. Dlatego w czasie okupacji miasto i jego mieszkańcy stali się przedmiotem niesamowitej nienawiści i potwornej brutalności, gdzie nie tolerowano żadnych, nawet najmniejszych śladów polskości.

To z pewnością musi wciąż tkwić głęboko w świadomości...

Jeszcze raz wracamy do punktu wyjścia naszej rozmowy. W moim przekonaniu, ta kwestia również nie jest obecna w ogólnonarodowej świadomości czy pamięci historycznej. I myślę, że dla Pomorzán to też stanowi dodatkowy ciężar. Szczególnie u Gdynian ta trauma i emocje

antyniemieckie są do dzisiaj bardzo silne, zwłaszcza w starszym pokoleniu. One oczywiście budują pewien obraz polskości. Polskości upartej, wojującej, takiej trochę kresowej, która jest dumna z tego, że nie dała się złamać i wynarodowić.

Natomiast jak już mówimy o gdyńskich mitach, to pamiętajmy, że w Gdyni funkcjonuje jeszcze jeden, bardzo ciekawy i ważny mit. Mit, który zresztą jest zakorzeniony w rzeczywistej historii. Jest to mianowicie mit gdyńskiej przedsiębiorczości. Gdynianin to tytan pracy organicznej, biznesmen. To bohater pozytywistyczny, a nie romantyczno-heroiczny. To nieco inny model polskości – model sprawczy, działania, bardziej czynu ekonomicznego niż zbrojnego. Ważnym elementem dla jego utrwalenia była i jest duma z tego, że to my sami zbudowaliśmy Gdynię. To jest coś, co chyba w żadnym innym polskim mieście już nie występuje. Bo jeżeli mówimy o starszych polskich miastach, które budowali przodkowie ileś wieków wcześniej, to ta świadomość tworzenia czegoś od zera często już się zatarła. Gdy mówimy o miastach typu Zielona Góra, Szczecin, Jelenia Góra, czyli na tzw. Ziemiach Odzyskanych, to występuje swoisty kompleks, że przyszliśmy na cudze. W Gdyni natomiast w ogóle nie ma tego rodzaju problemów, bo istnieje silne poczucie bycia u siebie. O każdej kamienicy jesteśmy w stanie powiedzieć – to zbudował mój dziadek, mój stryj, tu pracowała moja babcia, tutaj siostra ojca. To niesamowicie mocno wpływa na tożsamość Gdynian, postrzegających siebie jako osoby przedsiębiorcze. Mające poczucie sprawczości, ciągłości, własności.

Na przykładzie własności doskonale można uchwycić specyfikę Gdyni. Nawet w PRL-u, kiedy posiadanie własności wiązało się bardziej z kłopotami niż z profitami – bo trzeba było te kamienice utrzymywać,

remontować, a z czynszu prawie żadnych pieniędzy się nie miało – wielu gdynian zachowało swoją własność. Potem, po 1989 roku, niesamowicie ułatwiło to wszystkie procesy. I nie było takich problemów z reprivatyzacją jak na przykład w Warszawie. W Gdyni własność była ciągła, trwała i dość jednoznaczna z prawnego punktu widzenia. To jest fenomen Gdyni mieszczańskiej, co przy okazji jest też dość rzadko spotykanie w Polsce.

Nie sposób w tym kontekście nie zapytać o nazwiska. Mówiąc o idiomie polskości możemy odwoływać się choćby do Radziwiłłów, Sapiehów, Sanguszków i wiele innych rodów, które budowały potęgę i mit np. polskich Kresów. Czy mamy jakieś rody, które budowały polskość na Pomorzu, których nazwiska trzeba odsłonić współczesnym Polakom, bo zostały zapomniane albo są znane co najwyżej lokalnie?

Oczywiście nie brak takich przykładów. Możemy przywołać wspaniałe rody Wejherów czy Krokowskich, czy innych, gdzie mamy do czynienia z mieszaniem się żywiołów polskiego i niemieckiego. Przez stulecia część z nich się germanizowała, a część odwrotnie – z niemieckości przechodziła do polskości i służyła Rzeczpospolitej. Z punktu widzenia nowoczesnego rozumienia idei narodowej, ciekawy jest na pewno kazus rodziny Sierakowskich. Ten pomorski ród szlachecki miał swą siedzibę w Waplewie, a tamtejszy pałac był bardzo ciekawym przypadkiem świadomego pielęgnowania polskości w XIX i początkach XX wieku. Pałac wyposażono w pamiątki, nazwijmy to, polsko-gdańskie. Jest to zresztą przykład szerszego zjawiska – w XIX wieku dość powszechnie polska szlachta czy arystokracja wyposażała swe rezydencje na

przykład w sławne meble gdańskie. W Gdańsku chciano widzieć raczej perłę dawnej Rzeczypospolitej niż niemieckie, pruskie miasto, jakim stopniowo stawał się Gdańsk w XIX stuleciu.

Z czego to wynikało? Z kultywowania pamięci o dawnej Rzeczypospolitej?

To odniesienie do potęgi dawnej Rzeczypospolitej pozostawało bardzo silne przez cały okres zaborów. Sierakowscy na przykład – którzy są spektakularnym przykładem takiej bardzo świadomej sobie polskiej szlachty na Pomorzu – od pewnego momentu nie utrzymywali ponoć nawet kontaktów towarzyskich z pruską szlachtą, a więc ze swymi niemieckimi sąsiadami. Robili to, żeby zmanifestować swoją odrębność i sprzeciw wobec germanizacyjnych zapędów niemieckich, które ujawniły się podczas bismarckowskiego *Kulturkampf*, a nową siłę zyskały w pierwszych latach XX wieku.

Przejdźmy do Polski powojennej. Linia wybrzeża wydłużyła się o kilkaset kilometrów i morskie możliwości kraju rosły, a jednocześnie mam wrażenie, że urywa się ta modernizacyjna opowieść związana z Bałtykiem. A na pewno zostaje podporządkowana budowie państwa socjalistycznego. Jak wyglądały związki Polski z morzem po 1945 roku?

Myszę, że po wojnie nie było wcale tak źle. Oczywiście po 1945 roku nasz dostęp do morza jest o wiele większy niż w międzywojniu. Obok Gdyni zyskujemy jeszcze dwa duże i ważne porty, czyli Gdańsk i Szczecin. Symbolicznie szczególnie ważny jest Gdańsk, który na

polskiej mapie mentalnej bardzo silnie wiązany jest z ideą polskości Pomorza, polskości Bałtyku. Można wręcz powiedzieć, że po wojnie Gdańsk stał się pupilem władz – z kopyta rusza odbudowa miasta, budowa portu i stoczni. Z kolei Gdynia jest raczej upośledzona, bo pamiętano, że była ukochanym dzieckiem Sanacji, której ślady po wojnie tępiono. Ale nie była też jakoś specjalnie zaniedbana, gdyż państwowe przedsiębiorstwa, jak gdyńska stocznia, też były potrzebne odbudowującemu się z powojennej pożogi państwu.

Mamy więc wielki skok – zamiast jednego posiadamy trzy wielkie porty i stocznie. Mamy dłuższe wybrzeże, które nadaje się do wykorzystania w sensie zarówno praktycznym, jak i propagandowym...

I tak się dzieje. Tworzona jest np. potężna sieć domów wczasowych dla robotników pochodzących z głębi kraju. Tych domów powstają dziesiątki. Z jednej strony mamy więc budowę prężnego przemysłu morskiego, z drugiej tworzenie silnych więzi z morzem poprzez przenosiny lub wyjazdy wczasowe robotników nad Bałtyk. Jest to oczywiście wprzęgnięte w całą ideologię budowy państwa robotników i chłopów. Tym niemniej, wątki morskie powojenne państwo silnie eksploatuje przez około trzy dekady. Ale od lat 70. coś się zmienia. Można powiedzieć, że duży w tym udział grudniowych wydarzeń na Wybrzeżu z roku 1970. Protesty w Gdańsku, Elblągu, Szczecinie doprowadzają do zmiany na szczytach peerelowskiej władzy, na czele której staje teraz Edward Gierk z Katowic, w którym widać swoisty kompleks wobec niesforne Pomorza. Mam poczucie, że Gdańsk i Pomorze były przez niego potem karane za te „wybryki”, wywołane bądź co bądź przez robotników w socjalistyczno-robotniczym państwie.

I miał nosa. Bo potem się okazuje, że to na Wybrzeżu, nad Bałtykiem, odsłania się jedna z najpiękniejszych kart polskiej wolności. Wybuchają strajki, rośnie opór społeczny wobec opresyjnej władzy, powstaje „Solidarność”...

Z pewnością 1980 rok na Wybrzeżu bardzo mocno zaznaczył się w ogólnopolskiej świadomości – stoczniowcy i „Solidarność” zajmują ważne miejsce na polskiej mapie mentalnej. Jednak to bardzo trudna kwestia, która wymagałaby jeszcze poważnego zbadania, dlaczego akurat właśnie na Pomorzu, w Gdańsku, Szczecinie wybuchają te strajki. Należy pamiętać, że na Wybrzeżu mamy do czynienia z bardzo dużymi skupiskami dobrze wykształconego proletariatu – ludzi po szkołach zawodowych, świadomych swoich kompetencji i tego, że przemysł, w którym pracują jest ważny dla państwa. Komuniści w swej propagandzie sukcesu rozdymali przecież do niemożliwych rozmiarów kwestie sukcesów ekonomicznych, industrializacji, tego jak ważne są fabryki, stocznie i tak dalej. To budowało poczucie znaczenia tego wielkoprzemysłowego proletariatu. Tyle, że to hodowane przez samą komunę poczucie zaczynało się rozbiegać z możliwościami realnymi związanymi z płacami, czy zaopatrzeniem. W 1970 i 1980 roku mamy do czynienia z reakcją na zarządzane przez władzę podwyżki cen żywności. To jest pierwszy impuls. Dopiero na to nałożyły się różne frustracje i postulaty polityczne i narodowe. Ponadto, pamiętajmy, że mamy do czynienia z ludźmi mobilnymi, którzy zjeżdżali nad morze z całej Polski. Gdańsk, Gdynia, Szczecin to miejsca, w których kotłują się różne wpływy, które z natury są bardziej wybuchowe niż te zamieszkiwane przez osiadłą, chłopską ludność. Mamy skłonność, żeby te procesy wbudowywać w schemat narodowo-wyzwoleńczy. Jednak byłbym też tutaj bardzo ostrożny i nie marginalizował aspektu ekonomicznego.

Nie zmienia to jednak faktu, że w pewnym momencie Gdańsk stał się nieformalną stolicą kraju, gdzie za sprawą „Solidarności” było samo serce polskości. Czy na Wybrzeżu ktoś jeszcze o tym pamięta?

Doświadczyłem tego w 1984 roku kiedy pojechałem z Gdańska na studia do Krakowa. Wtedy właśnie odczułem, że przyjechałem ze stolicy Polski. To mit, który wciąż trochę łechce naszą lokalną dumę. Ale czy coś z tego zostało? Trudno powiedzieć. Uważam, że to się zdewaluowało w naturalnym procesie przekształcania buntu w realną władzę. Po 1989 roku Gdańsk stał się wylęgarnią ludzi władzy, z Gdańskiem związani byli: Lech Wałęsa, Aleksander Kwaśniewski, Lech Kaczyński, Janusz Lewandowski, Donald Tusk, Jan Krzysztof Bielecki i wielu innych czołowych polityków. To miało swoje konsekwencje, również takie, że dla ludzi spoza Trójmiasta, Gdańsk zaczął być postrzegany jako trochę opresyjny. Wszędzie się wpychał, zajmował jakieś miejsca, posady, stołki i tak dalej. To tylko moja intuicja, ale myślę, że ten romantyczny mit Gdańska jako ostoji wolności, w nieunikniony sposób musiał się gdzieś zdewaluować w takim normalnej, codziennej, demokratycznej praktyce sprawowania władzy.

Ale czy wraz z tym nie straciliśmy czegoś ważnego? Czy dzieje Pomorza, Gdyni, Gdańska to nie jest jakaś pozytywna opowieść, o której zapomnieliśmy, a która mogłaby stanowić źródło mocy polskiej samoświadomości? Co zrobiliśmy z tą opowieścią po 1989 roku?

Z perspektywy polskości Pomorza bilans minionego trzydziestolecia na wielu poziomach jest niezadowolający. Są to czasy stracone. To jest paradoks. Mówiliśmy o „inwazji gdańskiej”, jaką mieliśmy po 1989 roku w Warszawie i paradoksalnie dla samego Wybrzeża nic z tego nie wynikło. Był to bowiem jednocześnie czas zanikania przemysłu morskiego, zamykania stoczni, ograniczania działalności portów. Też takiego kompletnego, symbolicznego odwrócenia się od morza. Można by powiedzieć, że w minionym trzydziestoleciu mamy do czynienia z odwrotnością tego, co robiono w międzywojniu. Wtedy budowano mit Polski Morskiej, teraz zwinęliśmy go z powrotem. Do tego stopnia, że w pewnym momencie dowództwo marynarki wojennej wyprowadzono z Gdyni do Warszawy. W Gdyni przestano nawet widywać marynarzy w mundurach, co kiedyś było codziennością. To wszystko sprawiło, że my tutaj na Pomorzu możemy odczytywać te trzydzieści minionych lat w kategoriach katastrofy lub klęski.

Jednak obecnie porty w Gdyni i Gdańsku się rozwijają. Rząd deklaruje odbudowę polskich stoczni. Powstaje przekop Mierzei Wiślanej, aby uaktywnić port w Elblągu. Wygląda więc na to, że Polska znów zaczyna zwracać się w stronę morza.

Jest na to szansa. To wszystko jednak opiera się teraz na czysto biznesowym gruncie. Tego romantycznego, morskiego miejsca chyba już nie ma. Choć myślę, że nie straciliśmy tak do końca tej naszej „morskości” i w sposób emocjonalny jest ona w nas gdzieś głęboko zakorzeniona.

Muzeum Miasta Gdyni, którym kierowałem przez ostatnie 6 lat, jest położone dosłownie nad samym morzem. Miałem możliwość obserwować reakcje gości z różnych miast, którzy nas odwiedzali. Za każdym razem widziałem entuzjazm, jaki wywołuje morze. Ten romantyczny aspekt jest więc chyba nie do wyrugowania. Pragnienie morza, intuicyjna miłość do niego, tkwi gdzieś głęboko w nas. Jest to jakiś potencjał, na którym dałoby się budować na nowo. Nie wiem, czy da się to zrobić w taki sposób jak w międzywojniu, bo świat jest już inny. Wtedy zmasowana propaganda państwowa mogła przynieść bardzo daleko idące skutki. Dzisiaj struktura dystrybucji informacji, symboli, jest kompletnie inna. Bardziej rozproszona.

Pół żartem pół serio powiem, że być może do tej romantycznej narracji jedno morze już nie wystarcza. Może potrzebujemy koncepcji Trójmorza...

Idea Trójmorza niezmiernie mi odpowiada. Myślę, że jako przeciwwaga dla hegemonicznych mocarstw, takich jak Niemcy czy Francja, byłaby szansą dla naszego regionu. Obawiam się jednak, że podobnie jak w okresie międzywojennym, partykularyzmy będą silniejsze niż wola współpracy. Narody włączone w tę koncepcję są bardzo różne, szybko zmieniają się w nich fronty polityczne. To nie sprzyja stabilizacji takiego pomysłu. Nie sądzę, żeby wszyscy byli przekonani, że to jest przyszłość.

A czy to nie mówi czegoś o nas, o Polakach, że potrzebujemy jakiejś wielkiej historii, takiej z rozmachem, żebyśmy mogli funkcjonować na miarę naszego potencjału?

Pewnie tak jest. To jest i przekleństwo i wielkość naszej kultury, że żyjemy wielkimi ideami. Zawsze przez to dostajemy po nosie. Ja sobie jednak ten rozmach bardzo cenię, nawet jeżeli on jest często na wyrost. On jest piękny, choć równocześnie mało praktyczny. Ciężko się w tym wszystkim połapać, zwłaszcza tym, którzy nie są Polakami.

Rozmawiał Krzysztof Wojciechowski

Współpraca: Karolina Prochownik i Mateusz Ustaszewski

Jacek Friedrich – historyk sztuki, profesor w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Gdańskiego. Od stycznia dyrektor Muzeum Narodowego w Gdańsku, wcześniej przez sześć lat kierował Muzeum Miasta Gdyni.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego